

## ANALIZY

Zdzisław M. RURARZ

## POLSKA IDEA NARODOWA

(3)

Przechodząc do trzeciej i ostatniej z trzech części składowych "polskiej idei narodowej", solidaryzmu narodowego, chciałbym jej poświęcić szczególną uwagę.

Na wstępie należy zaznaczyć, że "solidaryzm" jest kierunkiem społeczno-politycznym, zrodzonym we Francji w ubiegłym stuleciu, który obecnie stał się popularny w wielu krajach Europy Zachodniej. Idee jego są na przykład głęboko zakorzenione w partiach chrześcijańsko-demokratycznych, zwłaszcza w niemieckiej CDU/CSU.

"Solidaryzm" głosi, że społeczeństwo, jak też cała ludzkość, stanowią "naturalną wspólnotę interesów", bez względu na przynależność rasową, etniczną, społeczną, czy wyznanie. Z tego też powodu był on zawsze ostro zwalczany przez ruch komunistyczny za próby zamazywania "antagonizmów klasowych", pokrewieństwo ze społeczną doktryną Kościoła katolickiego, jak też jego związki duchowe z nacjonalizmem, a nawet faszyzmem.

Przy okazji warto też wspomnieć, że polska "Solidarność" ma niewiele wspólnego z "solidaryzmem", a natomiast ma, przynajmniej od strony nazwy, z frakcją Puchewiczakona, powstałą w 1883 r., w łonie marksistowskiego "Proletariatu" Ludwika Waryńskiego i nazwaną "Solidarność", o krótkim zresztą żywocie. Hasłem tej frakcji była "solidarność robotnicza", a nie żaden marksizm. Stąd też Karol Modzelewski, proponując we wrześniu 1980 r. nadanie tworzącym się niezależnym i samorządnym związkom zawodowym nazwy "Solidarność", wyraził o czymś

Czy jednakże, w erze powstawania w świecie "globalnej wsi", czyli jakiegoś społeczeństwa ogólnoswiatowego, "narodowy solidaryzm" nie jest anachronizmem, szczególnie w przypadku Polaków, których i bez tego oskarża się o wybujały nacjonalizm i przesadny katolicyzm?

Na tego rodzaju zarzut, mniej lub bardziej głośno formułowany, należy odpowiedzieć bez owijania spraw w przysłowiową bawełnę.

A więc, o czym częściowo wspominałem już w pierwszym odcinku artykułu, świat współczesny, choć daleko nie cały, ale jego większa część, dość wstydliwie podchodzi do niektórych z trapiących go problemów, tych rasowo-etnicznych oraz wyznaniowo-kulturowych w szczególności.

Problemy te jednakże, mimo ich przemilczania, coraz natężej przypominają o sobie i nie daje się już przed nimi tak łatwo uciec.

Tak na przykład, na początku bieżącego stulecia ilość mieszkańców globu ziemskiego wynosiła ok. 2 miliardów. W połowie stulecia zaś, mimo dwóch wojen światowych i innych kataklizmów, ilość ta wzrosła do 2,5 miliarda. Pod koniec bieżącego stulecia przekroczy ona już 6 miliardów, a w 2025 r., jeśli nic nie zmieni się w obecnych trendach demograficznych, dojdzie do 8,5 miliarda. Demografowie twierdzą też, że zanim ilość mieszkańców globu ziemskiego ustabilizuje się, to zwiększy się ona jeszcze do poziomu 12-16 miliardów.

Co więcej, ludność biała, głównie należąca do chrześcijańskiego kręgu kulturowego,

się w obserwowanych obecnie trendach demograficznych w świecie.

Niestety, wiele podstaw do optymizmu, podobnie jak cała biała rasa, Polacy nie mają. Pomijając już fakt, że po raz pierwszy po II wojnie światowej, w I kwartale 1996 r., więcej Polaków zmarło niż się narodziło, ilość ich w świecie będzie maleć, relatywnie z całą pewnością, a może nawet w cyfrach bezwzględnych. Przyczyną tego będzie nie tylko niski, jeśli nie ujemny, przyrost naturalny w Polsce, ale również wynaradawianie się Polaków poza jej granicami.

Warto też przypomnieć, że jeszcze niedawno temu sądzono, iż prężna demograficznie Polska będzie mieć w połowie przyszłego stulecia więcej mieszkańców od wymierających Niemiec. Dziś prognozy tego rodzaju są już dyskusyjne, choć Niemcom, według prognoz demograficznych, grozi wymieranie po 2010 r., podobnie zresztą jak większości krajów europejskich.

Co się zaś tyczy "białych narodów" w ogóle, to Polacy, przynajmniej jak dotąd, zajmują wśród nich zupełnie niezłą lokatę, która daje im status narodu o średniej wielkości.

Tak na przykład, biali Amerykanie liczą ok. 195 milionów (nie wlicza się do nich Latynosów, gdyż ci są w przeważającej mierze pochodzenia indiańskiego). Amerykanie ci jednakże są etnicznie i wyznaniowo bardzo zróżnicowani, a ponadto nie są jeszcze tzw. narodem historycznym.

Stąd też największym białym narodem, etnicznie niemal jednorodnym, podobnie jak wy-

z kolei innego rodzaju, znacznie liczniejsza, ale identyfikująca się z krajami swojego pobytu, głównie w Ameryce Południowej (stanowi ona trzon wielu jej krajów, zachowuje też język ojczysty, który stał się językiem oficjalnym ich większości).

Bardziej skomplikowany jest natomiast problem z Ukraińcami. Ukraina jest co prawda większa od Polski, licząc ok. 52 milionów mieszkańców, ale w ok. 30 procentach zamieszkała jest ona przez mniejszości narodowe, głównie Rosjan. Nie jest ona wyznaniowo jednorodna, a ponadto nie zniknęły tam jeszcze głębokie podziały pomiędzy "wschodnimi" i "zachodnimi" Ukraińcami. Dyskusyjna jest również sprawa "historyczności" ukraińskiego narodu, gdyż do Rusi Kijowskiej przyznają się zarówno Rosjanie jak i Białorusini.

W każdym razie, Polska ma niezłą lokatę wśród białych narodów, aczkolwiek jej perspektywy demograficzne, podobnie zresztą jak i pozostałych białych narodów, są bardzo niepokojące. Na najbliższy okres tj. lata 2020-2025, ilość mieszkańców Polski szacuje się na ok. 42-43 miliony, cyfra raczej niepewna w świetle najnowszych doświadczeń. Znacznie też wynarodowieniu ulegnie w międzyczasie Polonia w świecie.

Tak czy inaczej, Polska, która pod względem ilości mieszkańców zajmuje dziś 28 miejsce w świecie, w 2025 r. spadnie z pewnością poniżej 40, a może nawet 50. miejsca.

Oczywiście, można pocieszyć się tym, że inne białe narody mają jeszcze gorsze perspektywy, Rosjanie i Niemcy przede wszystkim,

śka "Solidarność" ma niewiele wspólnego z "solidaryzmem", a natomiast ma, przynajmniej od strony nazwy, z frakcją Puchewicz-Kona, powstałą w 1883 r., w łonie marksistowskiego "Proletariatu" Ludwika Waryńskiego i nazwaną "Solidarność", o krótkim zresztą żywocie. Hasłem tej frakcji była "solidarność robotnicza", a nie żaden marksizm. Stąd też, Karol Modzelewski, proponując we wrześniu 1980 r. nadanie tworzącym się niezależnym i samorządnym związkom zawodowym nazwy "Solidarność", zapewne wiedział o czym mówił, choć należy wątpić czy Lech Wałęsa i jemu podobni też o tym wiedzieli.

Co się tyczy "solidaryzmu narodowego", to należy go rozumieć jako szeroko pojętą "wspólnotę narodową", w przypadku Polski obejmującą zarówno Polaków w kraju, jak i tych żyjących poza jego granicami. Pod pojęciem "Polak" należy z kolei rozumieć obywateli polskich w samej Polsce, bez względu na ich etniczno-wyznaniowe więzy, jeśli tylko utożsamiają się oni z polsnością, a także Polaków w diasporze, nawet w przypadku posiadania przez nich obywatelstwa kraju zamieszkania.

Tak więc, wspólnym mianownikiem "polskiego solidaryzmu narodowego" jest po prostu polsność. Pochodzenie etniczne, społeczne, wyznanie, zawód, wykształcenie, jak też miejsce stałego zamieszkania, są o drugorzędnym znaczeniu, decydują natomiast "polski duch", gotowość do poświęceń dla "sprawy polskiej", czyli bezwarunkowa lojalność wobec Narodu Polskiego (ale niekoniecznie Państwa Polskiego, które czasami nie odzwierciedla dobrze pojętych polskich interesów narodowych).

W tym sensie więc, Polakiem może być nawet ten, kto nie zna polskiego języka, ale poczuwa się do więzów z krajem swoich przodków. Może nim być również ktoś niepolskiego pochodzenia, nie mówiąc już o tych pół, czy nawet ćwierć-Polakach, nie katolickiego wyznania, czy każdy inny, jeśli tylko jest wierny "sprawie polskiej".

Oczywiście, byłoby idealnym, gdyby każdy Polak znał język polski, polską historię, jak też możliwie dogłębnie orientował się we wszystkich polskich sprawach narodowo-państwowych. Nie jest to jednak warunek bezwzględny, gdyż przede wszystkim powinny się liczyć lojalność wobec Narodu Polskiego i chęć działania dla jego dobra.

wynosiła ok. 2 miliardów. W połowie stulecia zaś, mimo dwóch wojen światowych i innych kataklizmów, ilość ta wzrosła do 2,5 miliarda. Pod koniec bieżącego stulecia przekroczy ona już 6 miliardów, a w 2025 r., jeśli nic nie zmieni się w obecnych trendach demograficznych, dojdzie do 8,5 miliarda. Demografowie twierdzą też, że zanim ilość mieszkańców globu ziemskiego ustabilizuje się, to zwiększy się ona jeszcze do poziomu 12-16 miliardów.

Co więcej, ludność biała, głównie należąca do chrześcijańskiego kręgu kulturowego, która stanowi dziś ok. jednej piątej całej ludności, już za niecałe dwa pokolenia może nie stanowić nawet jednej dziesiątej części i nadal się zmniejszać.

Innymi słowy, biały człowiek, nosiciel współcześnie dominującej cywilizacji, opartej głównie na silnej bazie gospodarczej oraz naukowo-technicznej, a co za tym idzie także militarnej, kończy już prawdopodobnie swoją misję dziejową.

Rzecz tylko w tym, jaki to będzie koniec i kiedy on konkretnie nastąpi. Pół biedy jeszcze, jeśli będzie to rezultat naturalnych procesów w świecie, ale przecież takiej pewności nie ma, gdyż procesy te mogą być sztucznie przyspieszone, poprzez narastanie konfliktów rasowo-etnicznych i wyznaniowo-kulturowych, które z czasem przybiorą charakter zbrojny.

W świecie jest też ok. 2,5 tysiąca narodów i narodowości, dodatkowo bardzo zróżnicowanych wyznaniowo, podczas gdy ilość państw niepodległych, często niejednorodnych rasowo-etnicznie i wyznaniowo-kulturowo, nie osiągnęła jeszcze 200. Stąd też jest bardzo prawdopodobne, że ilość narodowych państw, wbrew procesom integracyjnym w świecie, będzie więc nieprzerwanie wzrastać. Nowe państwa, zapewne demograficznie prężne, będą dążyć, obok tych już istniejących, do powiększenia swojej "przestrzeni życiowej" na 150 milionach kilometrów kwadratowych łądów, które zamieszkuje ludzkość.

Co z tego wyniknie - można tylko spekulować. Już dziś bowiem są miejsca w świecie, gdzie ludzie walczą zażarcie między sobą o każdą piędź ziemi. Próbuja też odzyskać ziemię utracone przed setkami i tysiącami lat.

Powracając do spraw polskich, mówmy o nich otwarcie, nie unikając najbardziej nawet drażliwych ich stron.

Polacy należą do białej rasy, a stąd wynikają różne konsekwencje, jeśli nic nie zmieni

w ogóle, to Polacy, przynajmniej jak dotąd, zajmują wśród nich zupełnie niezłą lokatę, która daje im status narodu o średniej wielkości.

Tak na przykład, biali Amerykanie liczą ok. 195 milionów (nie wlicza się do nich Latynosów, gdyż ci są w przeważającej mierze pochodzenia indiańskiego). Amerykanie ci jednakże są etnicznie i wyznaniowo bardzo zróżnicowani, a ponadto nie są jeszcze tzw. narodem historycznym.

Stąd też największym białym narodem, etnicznie niemal jednorodnym, podobnie jak wyznaniowo, a w dodatku "narodem historycznym" są Rosjanie, liczący ok. 155 milionów, z czego ok. 125-130 milionów zamieszkuje w Federacji Rosyjskiej, a ok. 25-30 milionów w innych krajach b. ZSRR.

Na trzecim miejscu są 82-milionowe Niemcy, naród etnicznie jednorodny, choć nie wyznaniowo, jak też "naród historyczny". W rzeczywistości Niemców jest nawet znacznie więcej, jeśli dodać do nich Austriaków, niemieckojęzycznych Szwajcarów oraz bardzo liczną diasporę (nie należy zapominać, że ok. 40 milionów Amerykanów jest pochodzenia niemieckiego).

Na czwartym miejscu są biali Brazylijczycy, ok. 80-82 miliony (stanowią oni nieco ponad połowę 160-milionowego narodu). Są oni jednakże etnicznie i wyznaniowo znacznie zróżnicowani, jak też nie są żadnym "historycznym narodem".

Piąte, szóste i siódme miejsca zajmują Anglia, Francja i Włochy, każde z tych państw mające obecnie nieco ponad 58 milionów mieszkańców, etnicznie i religijnie niemal jednorodnych, jak też będących "narodami historycznymi".

W rzeczywistości kraje te mają znacznie większą ilość mieszkańców, poza Włochami, przeciętnie o ok. 10 procent, głównie muzułmanów i Murzynów, którzy nie mają ich obywatelstwa.

Ósme miejsce dzielą między sobą niemal 40-milionowa Hiszpania, wyznaniowo jednorodna, ale etnicznie dość zróżnicowana, "naród historyczny", jak też 39-milionowa Polska, również "naród historyczny", ale w 98 procentach etnicznie jednorodna i podobnie prawie jednorodna wyznaniowo.

Oba kraje mają też wielomilionową diasporę. Co się tyczy polskiej, to szacuje się ją na ok. 14-15 milionów. Hiszpańska diaspora jest

pocieszające. Iva najnowszy okres tj. lata 2020-2025, ilość mieszkańców Polski szacuje się na ok. 42-43 miliony, cyfra raczej niepewna w świetle najnowszych doświadczeń. Znacznie mu też wynarodowieniu ulegnie w międzyczasie Polonia w świecie.

Tak czy inaczej, Polska, która pod względem ilości mieszkańców, zajmuje dziś 28 miejsce w świecie, w 2025 r. spadnie z pewnością poniżej 40, a może nawet 50. miejsca.

Oczywiście, można pocieszyć się tym, że inne białe narody mają jeszcze gorsze perspektywy, Rosjanie i Niemcy przede wszystkim, ale Polacy, w ciągu najbliższych 25 lat, mogą nie stanowić więcej niż 0,5 procent mieszkańców globu ziemskiego, co samo przez się ma swoją wymowę.

Stąd też patrząc na przyszłość Polaków w szerszym kontekście, nie pozostaje im nic innego jak zewrzeć własne szeregi i wspólnie stawiać czoła czekającym ich wyzwaniom.

Tym bardziej, że obszar Polski, zupełnie wystarczający jak na obecne i przyszłe wymagania, nie jest wcale wolny od poważnych zagrożeń. Pomijając już te natury polityczno-wojskowej, które mogą zdecydować o jej przyszłości, również te natury przyrodniczej są godne najwyższej troski.

Tak na przykład, jeśli sytuacja ulegnie zmianie na lepsze, Polsce grozi brak wody, co w efekcie może nawet doprowadzić do jej upustynienia (pod względem niedoborów wody Polska już dziś zajmuje pierwsze miejsce w Europie).

Jeśli tak, to perspektywy produkcji rolnej i przemysłowej, nie mówiąc już o zdrowotności i higienie ludności, stają pod znakiem zapytania. Grożąca ponadto Polsce utrata lasów może też wpłynąć na znaczne pogorszenie się stanu zanieczyszczenia atmosfery, który już dziś, regionalnie zwłaszcza, osiągnął poziom zagrażający egzystencji jej ludności.

Zakładając jednak, że tak źle nie będzie, to jednak starzenie się narodu polskiego, rzecz nieunikniona ze względu na obecny przyrost naturalny, nie mówiąc już o jego wymieraniu, będzie mieć negatywne konsekwencje ekonomiczne. Już dziś bowiem, ze względu na wiekową strukturę ludności, mniej niż dwóch Polaków pracuje na jednego emeryta i rencistę (w USA trzech pracuje na jednego). Dodając do tego zasiłki dla prawie 2,7 milionów bezrobotnych, gospodarka polska jest zatem zbyt obciążona wydatkami nieprodukcyjnymi, co

## ANALIZY

komplikuje jej rozwój już obecnie, a jeszcze bardziej będą go one komplikować w przyszłości.

Innymi słowy, Polacy, jeśli chcą dostаточно i bezpiecznie żyć, stają w obliczu wyzwań, które muszą pokonywać wspólnymi siłami.

Niestety, solidaryzm narodowy nigdy nie był mocną stroną w historii polskiej.

Czy jednakże można mieć nadzieję, że mając niezbyt różową przyszłość Polacy zewrą wreszcie swoje szeregi, odłożą na bok dzielące ich waśnie i solidarnie przystąpią do wspólnego dzieła?

No cóż, na pytanie to nie można odpowiedzieć jednoznacznie. Doświadczenia historyczne bowiem nie dają podstaw do takiego optymizmu, a nie ma też żadnej pewności, że nauki z przeszłości i teraźniejszości zmieniają istniejący stan rzeczy.

Polacy bowiem, pomijając już okres przedrozbiorowy, nawet w okresach walki o swoją niepodległość byli dalecy od jedności, a nierzadko byli sobie wrogami.

Nie lepiej było też po odzyskaniu niepodległości w końcu 1918 r. i w okresie międzywojennym.

Rozbicie polityczne Polaków, zrodzone jeszcze pod zaborami, przeniosło się ze zdwojoną siłą na czasy II Rzeczypospolitej. Pomijając już mniej ważne partie, których łącznie było ok. 200., choć co prawda w jednej trzeciej były to partie mniejszości narodowych, Polacy rozproszyli się politycznie. Główne partie podzieliły naród na endeków, socjalistów, ludowców, konserwatystów, czy wreszcie komunistów, nie mówiąc już o podziałach wewnątrz tych partii, jak też średniej wielkości partiach, które uzupełniały polityczną mozaikę już od pierwszych dni niepodległości. I choć żadna z partii nie miała większości narodu za sobą, to jednakże ich wpływy były na tyle silne, że uniemożliwiały jego zgodny wysiłek, jakżeż wtedy konieczny.

Potem, po zamachu majowym w 1926 r., kiedy to Józef Piłsudski podjął się próby ponadpartyjnego zjednoczenia narodu, tworząc w 1928 r. PRPP, reprezentujący Północną

Oficjalnie bowiem był "front narodowy", uzurpujący sobie prawo reprezentowania wszystkich Polaków, który pod przewodnictwem PPR/PZPR sprawował władzę, mniej lub bardziej jawnie podporządkowaną Moskwie.

I wreszcie, po 1989 r., kiedy to niby Polska stała się już w pełni niepodległa i demokratyczna, też było nie lepiej. Istniejące dawniej podziały wewnętrzne w narodzie nie tylko znów się ujawniły, ale nawet zaczęły się jeszcze bardziej pogłębiać i rozdrabniać. Istniejące obecnie ponad 300 partii i stronnictw politycznych, choć co prawda na uwagę zasługuje tylko 7-8, wliczając w to "Solidarność" i Ruch Odbudowy Polski, jest ilością absolutnie aż nadto wystarczającą do głębokiego podzielenia narodu.

Co gorsza, wyniki wolnych wyborów w III Rzeczypospolitej, albo raczej w PRL-bis, prowadzą do kolejnych i niewesołych konkluzji. Wybory prezydenckie bowiem, jak też do Zgromadzenia Narodowego, świadczą dobitnie już nie tylko o istniejących podziałach w narodzie, ale nawet o ich niebezpiecznej polaryzacji. Szczególnie zaznaczyło się to w listopadowych wyborach prezydenckich, gdzie naród podzielił się na dwie antagonistyczne i niemal równe sobie części. Czy ten nowy podział ulegnie z czasem zatarciu się, czy też doprowadzi do dalszego pogłębienia się - można tylko spekulować.

Innym niepokojącym objawem jest problematyczna dojrzałość polityczna wyborców, którzy swoje głosy oddają w sposób dość zastanawiający, choć co prawda alternatywy wyboru mają bardzo ograniczone.

Niemniej jednak, nie naród polski trzeba winić za ten stan rzeczy, jak to sugerują podnoszone tu i ówdzie głosy, ale jego liczne i bardzo specyficzne doświadczenia historyczne.

W rzeczywistości bowiem Polacy, doświadczeni przez historię jak mało kto inny na świecie, mają prawo być zdezorientowani, a nawet po prostu zmęczeni.

Mówiąc bardziej konkretnie, przypomnijmy polskie doświadczenia tylko w tym stule-

do dziś tkwią głęboko w indywidualnej i zbiorowej pamięci Polaków.

Co gorsza, walka, do której Polacy masowo stanęli, nie dała im satysfakcji z odniesionego zwycięstwa, a tylko pogłębiła ich rozgorzycenie. Koniec wojny był bowiem inny niż go sobie wyobrażano. Polsce poprzysuwano też granice jak chciano, zmieniono jej ustrój, a nade wszystko stworzono półniepodległą PRL.

W czasach jej istnienia z kolei, Polacy przeszli przez terror nowej "władzy ludowej", "romans z PSL", a nawet przez ograniczoną w skali wojnę domową, jak też "gomulkowski szczyt", stalinizm, Czerwiec i Październik 1956, Marzec 1968, Grudzień 1970, "budowę drugiej Polski", Czerwiec 1976, no i wreszcie wydarzenia lat 1980-1981, zakończone "stanem wojennym".

Potem przyszedł rok 1989 ze swoim "okragłym stołem", reaktywowaniem "Solidarności", czerwcowymi wyborami, rządem Mazowieckiego, "grubą kreską", formalnym zgonem PRL i nie mniej formalnymi narodzinami III RP. Tuż potem nastąpił przedziwny demontaż socjalizmu i restauracja kapitalizmu, z awanturczą "terapią szokową". Podejrzany był też zgon PZPR i podobnie podejrzaną narodziną SdRP. Kropką nad "i" były dziwne "wojny na górze" i prezydentura Lecha Wałęsy, z jego "lewymi nogami", rozpad Układu Warszawskiego i RWPG, a nawet samego ZSRR, czego nieco opóźnionym finałem było wycofanie wojsk sowiecko-rosyjskich z Polski.

Wydarzeniom tym towarzyszył brak stabilizacji w kraju, znaczone ciągłymi upadkami rządów i przedwczesnymi wyborami, nie mówiąc już o ostrym spadku stopy życiowej większości społeczeństwa, jak też pojawieniu się na wielką skalę bezrobocia i przestępczości wszelkiego rodzaju.

Stąd też trudno się dziwić, że wybory do Zgromadzenia Narodowego we wrześniu 1993 r. i prezydenckie z listopada 1995 r. - przyniosły takie a nie inne rezultaty.

I jak w takiej sytuacji, kiedy na przestrze-

Polskiego solidaryzmu narodowego nie da się na przykład zbudować w rozpitym, zaczadzonym dymem papierosowym, znarkotyzowanym i w moralnie upadłym kraju, a walkę z tymi plagami można prowadzić zwycięsko nawet w warunkach niepełnej niepodległości.

Co więcej, nikt nie może też przeszkodzić Polakom, jeśli tylko sami tego zapragną, dojść do syntezy polskiej myśli politycznej, sprowadzić do wspólnego mianownika idee Świętochowskiego, Krzywickiego, Abramowskiego, Balickiego, Dmowskiego, Brzozowskiego, Limanowskiego, Piłsudskiego i wielu innych naszych wybitnych myślicieli. A jeśli nie jest to możliwe w kraju, to trzeba tego próbować w środowiskach polonijnych, skąd wcześniej czy później wszystko dotrze nad Wisłę.

Solidaryzm narodowy, to wielkie wyzwanie, przed którym Polacy nie uciekną, jeśli tylko chcą pozostać liczącym się w świecie narodem. Zgoda, szukanie płaszczyzn wzajemnego porozumienia i compromise'ów, choć nie konieczne zgody narodowej, gdyż na nią za wcześnie jeszcze, wszędzie było i jest zawsze trudniejsze od szukania powodów do zwady.

Polacy, choć nie tak znów gorsi od innych, bardziej skorzy są, niestety, do zwad między sobą, niż do zgody, czy choćby wzajemnego tolerowania odmiennych poglądów. Fakt zaś, że inni też skaczą sobie do oczu - nie powinien być pociechą dla nich. Sytuacja Polaków jest bowiem znacznie gorsza od wielu innych narodów, zwłaszcza tych liczących się, a takim jest przecież naród polski.

Rosjanie na przykład, mają ostatnio znaczne osiągnięcia w dziedzinie dokonywania syntezy pomiędzy lewicą a prawicą.

Polacy, niestety, nawet jeszcze nie weszli na drogę dyskusji, która mogłaby ich doprowadzić do takiej syntezy.

Polski solidaryzm narodowy, zwłaszcza na obecnym etapie historycznym, jest zatem wyzwaniem, któremu trzeba sprostać. Szczególnie, że jest on zwornikiem wszystkich trzech części "polskiej idei narodowej". Bez niego niepodległość i...

dowców, konserwatystów, czy wreszcie komunistów, nie mówiąc już o podziałach wewnątrz tych partii, jak też średniej wielkości partiach, które uzupełniały polityczną mozaikę już od pierwszych dni niepodległości. I choć żadna z partii nie miała większości narodu za sobą, to jednakże ich wpływy były na tyle silne, że uniemożliwiały jego zgodny wysiłek, jakżeż wtedy konieczny.

Potem, po zamachu majowym w 1926 r., kiedy to Józef Piłsudski podjął się próby ponadpartyjnego zjednoczenia narodu, tworząc w 1928 r. BBWR, Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem, było niby nieco lepiej, ale przecież celu swojego nie osiągnął. Po siedmiu latach istnienia BBWR uległ bowiem samorozwiązaniu się, a następna próba ponadpartyjnego jednoczenia narodu, podjęta w 1937 r., kiedy to powstał Obóz Zjednoczenia Narodowego, słynny "Ozon", też w sumie była nieudana, choć w obliczu zbliżającej się wojny, etniczni Polacy przynajmniej, wykazywali już nieco większą jedność.

Niestety, w czasie II wojny światowej dawne i nowe podziały znów zaznaczyły się i to z jeszcze większą siłą.

Na emigracji wszyscy żarli się ze wszystkimi, wciągając do tego nawet Francuzów, a potem Anglików. Szczególnie zacięcie zwalczano sanację, "piłsudczyków", przesadnie oskarżając ich o klęskę wrześniową.

Nie lepiej było też w okupowanym kraju, zwłaszcza w Podziemiu zbrojnym, gdzie ilość różnych niezależnych grup była olbrzymia, a i w politycznym też nie było lepiej.

Prawda, wielkie wysiłki scaleniowe dały w końcu pewne efekty, ale jedności narodowej nie udało się osiągnąć. W rezultacie tego mieliśmy, ograniczając się tylko do organizacji zbrojnych, tych najważniejszych w Podziemiu, zarówno ZWZ/AK, jak też NSZ, BCh oraz GL/AL.

Do tego wszystkiego doszły jeszcze takie znane wydarzenia jak powstanie w Moskwie ZPP, CBKP, a następnie PKWN, które mając do dyspozycji własne siły zbrojne i bezpieczeństwa, a nade wszystko poparcie sowieckie, wzięły władzę na następne 45 lat (jeśli tylko naprawdę zeszła ona już ze sceny historycznej).

W okresie PRL z kolei, ze względów oczywistych, normalnego życia politycznego nie było, a istniejące podziały w narodzie miały co najwyżej tylko nieoficjalny charakter.

stosowanej, w tym samym czasie, a wydoboru mają bardzo ograniczone.

Niemniej jednak, nie naród polski trzeba winić za ten stan rzeczy, jak to sugerują podnoszone tu i ówdzie głosy, ale jego liczne i bardzo specyficzne doświadczenia historyczne.

W rzeczywistości bowiem Polacy, doświadczeni przez historię jak mało kto inny na świecie, mają prawo być zdezorientowani, a nawet po prostu zmęczeni.

Mówiąc bardziej konkretnie, przypomnijmy polskie doświadczenia tylko w tym stuleciu.

Na jego początku Polacy w ogóle nie mieli niepodległości, będąc w dodatku rozdarci pomiędzy trzy zabory. Przechodzili przez "rugi pruskie" i "Kulturkampf", krwawe wydarzenia 1905 r., walk bratobójczych nie wyłączając, a nawet wojnę rosyjsko-japońską, w której wielu z nich brało udział.

Potem przyszła I wojna światowa, która do armii zaborczych zagnała ponad 2 miliony etnicznych Polaków, zmuszając ich często do wzajemnego wyrzynania się. Następne 20-30 tysięcy Polaków walczyło w Legionach i tyleż w konspiracyjnej POW.

Odzyskanie niepodległości oznaczało z kolei ich wojnę z Ukraińcami, utarczki zbrojne z Czechosłowakami i Litwinami, walki na dużą skalę z Niemcami, w czasie Powstania Wielkopolskiego i trzech Powstań Śląskich, a nade wszystko wielką wojnę polsko-bolszewicką, w której padło więcej Polaków niż na wszystkich polach bitewnych II wojny światowej.

Po pokoju ryskim były dla odmiany utarczki z bandami nasyłanymi z ZSRR, kłopoty z Ukraińcami i Białorusinami, a nawet z własnymi strajkującymi robotnikami i chłopami. Była też sejmokracja, faktyczna półanarchia, mord pierwszego prezydenta, jak też zamach majowy Piłsudskiego, bardziej krwawy w skutkach od wszystkich wystąpień masowych w PRL razem wziętych.

Następnie, po 1926 r., była półdyktatura, proces brzeski i Bereza Kartuska, a co stało się we wrześniu 1939 r. - nie trzeba już nikomu przypominać.

Krwawa okupacja niemiecko-sowiecka, potem tylko niemiecka, z Katyniami i Oświęcimiami, tragedią Powstania Warszawskiego i innymi aktami zbrodni na narodzie polskim, które zagroziły jego biologicznemu istnieniu, to następne i wyjątkowe doświadczenia, które

Wydarzeniem tym towarzyszył brak stabilizacji w kraju, znaczony ciągłymi upadkami rządów i przedwczesnymi wyborami, nie mówiąc już o ostrym spadku stopy życiowej większości społeczeństwa, jak też pojawieniu się na wielką skalę bezrobocia i przestępczości wszelkiego rodzaju.

Stąd też trudno się dziwić, że wybory do Zgromadzenia Narodowego we wrześniu 1993 r. i prezydenckie z listopada 1995 r. - przyniosły takie a nie inne rezultaty.

I jak w takiej sytuacji, kiedy na przestrzeni czterech pokoleń wydarzyło się aż tak wiele, zmieniło się tyle "prawd obiektywnych", Polacy mają nie być zdezorientowani i nawet zmęczeni? Zwłaszcza, że od pokoleń doskwiera im niedostatek, a nierzadko i głód.

Każdy przecież żyjący Polak, pomijając nieletnie dzieci, ma jakieś własne doświadczenia za sobą, które naprawdę mogą doprowadzić go do niewiary we wszystko co robi, albo co ktoś każe mu robić.

Rezygnacja i cynizm, zjawiska niestety masowo występujące dziś wśród Polaków, mają więc swoje historyczne uzasadnienie. Zwłaszcza, że elity, które powinny pokazywać im cel działania i konsekwentnie prowadzić ich do jego osiągnięcia, albo nie istnieją w ogóle, albo dbają tylko o swoje egoistyczne interesy, albo co gorsza - są przedmiotem obcej manipulacji.

Ano właśnie, nie ma przecież żadnej pewności, że rozpustarty nad Polską moskiewski parasol został ostatecznie zwinięty. Przeciwnie, wiele świadczy o tym, jak choćby wlokąca się w nieskończoność "afery Oleksego" i wyczyny polskich służb specjalnych, że parasol ów jest nadal nad nią rozpięty.

I czy w tej sytuacji można się dziwić, że Polacy nie bardzo wiedzą co robić, na kogo głosować i na czyj odzew odpowiadać?

Sprawy bowiem mają się tak, że czy pójdą na lewo, na prawo, czy usadowią się w centrum, to zawsze znajdują się w tym samym miejscu, z góry wyznaczonym i pieczołowicie dogładanym przez kogoś z zewnątrz...

Czy jednakże już nic nie da się zrobić i solidaryzm narodowy, podobnie jak cała "polska idea narodowa", nie mają żadnych szans realizacji?

Nie, tak źle nie jest. Nawet przy założeniu, że Polska niepodległość jest niepełna, to przecież i w takim przypadku sporo można zdziałać.

Rosjanie na przykład, mają ostatnio znaczne osiągnięcia w dziedzinie dokonywania syntezy pomiędzy lewicą a prawicą.

Polacy, niestety, nawet jeszcze nie weszli na drogę dyskusji, która mogłaby ich doprowadzić do takiej syntezy.

Polski solidaryzm narodowy, zwłaszcza na obecnym etapie historycznym, jest zatem wyzwaniem, któremu trzeba sprostać. Szczególnie, że jest on zwróceniem wszystkich trzech części "polskiej idei narodowej". Bez niego niepodległość i patriotyzm, państwo prawa i społeczeństwo obywatelskie, są tylko pustostawami.

No cóż, ani w Polsce, ani wśród Polonii, nadal nie widać dążeń w kierunku tworzenia solidaryzmu narodowego, gdyż błędnie utożsamia go się ze "zgoda narodową". Zgoda taka może być celem końcowym "solidaryzmu narodowego", ale oba te pojęcia nie są wzajemnie wymiennymi.

Wstępem do "solidaryzmu narodowego" jest jednakże wykrystalizowanie się wspomnianej już "syntezy myśli narodowej", czyli zbliżania się ideologiczno-politycznych stanowisk lewicy, prawicy i centrum. Jest to niezbędne minimum, punkt wyjściowy, dla powstania "solidaryzmu narodowego", a w dalszej kolejności może także i "zgody narodowej".

Reasumując, "polska idea narodowa", jeśli w ogóle ma jakiś sens, musi równolegle ciągnąć do przodu wszystkie jej części składowe. Zaczynać trzeba jednak od solidaryzmu narodowego, który może narodzić się także w warunkach braku niepodległości, lub półniepodległości, jak też pod nieobecność państwa prawa i społeczeństwa obywatelskiego.

Innymi słowy mówiąc, solidaryzm narodowy jest tym ogniwem, za które trzeba mocno uchwycić, jeśli "polska idea narodowa" ma w ogóle mieć jakąś szansę historyczną.

W praktycznym działaniu Polacy muszą więc szukać punktów stykowych, tego co ich łączy, a nie dzieli.

A czy sprostają temu wyzwaniu - pokaże przyszłość.

**Od redakcji:** W pierwszym odcinku artykułu, w nr. 107 "Dziennika" wdarły się niektóre chochliki drukarskie. M.in. zamiast "atrofia" powinno być "atrofia", a zamiast "samodzierzawienie" powinno być "samodzierzawie". Przepraszamy.